

Szczawińska O warszawskim teatrze



Weronika Szczawińska
REŻYSERKA TEATRALNA

Dziady na salonie

Nadszedł grudzień, a wraz z nim zbliża się koszmar miejskich świąt Bożego Narodzenia. Koszmar kolonizacji przestrzeni dokonywanej z wyprzedzeniem, na potrzeby zakupów zwanych Christmas season. Ulice Warszawy przygotowały się już naturalnie na ten doroczny wysilek. Jednak kiedy 19 listopada kręciłam się wieczorem po placu Grzybowski, trochę zszokował mnie widok gigantycznej bombki tkwiącej pośród rozlicznych oczek tamtejszej fontanny. Już, to naprawdę już, i gramy „Last Christmas”? Postanowiłam więc trochę sobie przeciągnąć listopad. Jeszcze przez chwilę w nim pozostać. A nawet skoczyć w czasie, jakies dwadzieścia lat wstecz.

19 listopada 1996 r. wznowił swoją działalność warszawski Teatr Narodowy. Spłonął w roku 1985, odbudowa przekroczyła więc granice epok. Nie wiem, czy w 2016 r. odbyły się z tej okazji jakieś uroczystości ku czci; może coś przeoczyłam, nieczęsto bywam w mieście, bo ogólnie mieszkam w PKP. Rocznicę tę warto jednak przypomnieć - nie tylko z szacunku dla teatralnych hobbystów i rangi instytucji. Warto wspomnieć o niej ze względu na ekscentryczne, jak się zdaje, otwarcie teatru. A przede wszystkim ze względu na ówczesnego dyrektora narodowej sceny, reżysera Jerzego Grzegorzewskiego.

Inauguracyjna gala 19 listopada obejmowała pokaz spektaklu „Dziady - dwanaście improwizacji”. Spektakl importowano z Krakowa, gdzie Grzegorzewski wystawił go rok wcześniej. Przedstawienie, delikatnie mówiąc, awangardowe zostało przeniesione do świeżo odbudowanego gmachu. Do teatru pełnego marmurów i blichtru, wcielającego aspiracje najntisowej Polski. Do świąta inspirowanego raczej „Dynastią” niż klasycznymi wzorcami (pamiętam do tej pory elegancką palarnię, która wzbudziła mój nastoletni zachwyty). W tym oto luksusie miała umościć się sztuka narodowa prawdziwie wolnej i rynkowej Polski. Ów pokaz „Dziadów” i towarzysząca mu gala wydają się gratką dla miłośników polskich lat 90. Ciekawa jestem, czy istnieje dokumentacja, zapis tych wydarzeń. Otwarcie musiało być

wspaniale - spektakl drwiący z „warszawskiego salonu” zagościł w samym jego środku. Podobno aktorom gratulowali na scenie prezydent Kwaśniewski z małżonką, a wcześniej środowisko teatralne protestowało przeciwko obecności „PRL-owskich dygnitarzy”.

Grzegorzewski wiedział, co robi. Prowadził takie gry świadomie, mówiąc coś istotnego o swojej współczesności. W tym sensie był zresztą artystą bardzo zasłużonym także dla Warszawy. Nie tylko jako dyrektor (wcześniej szefował Teatrowi Studio, gdzie działa teraz poświęcona mu pracownia). To jeden z nielicznych twórców teatru, którzy usiłowali wpisać Warszawę w swoje imaginarium, przekraczające znacznie ramy realizmu. Pomysły na



Pomysły na Warszawę Grzegorzewski miał różne. Jedną z najciekawszych fantazji zakładała zatopienie placu Defilad, po którym pływać miały gondole

Warszawę Grzegorzewski miał różne. Jedną z najciekawszych fantazji zakładała zatopienie placu Defilad, po którym pływać miały gondole. Na różne sposoby ogrywał przestrzeń Studia tkwiącego w Pałacu Kultury. Na przykład widzowie oglądali Warszawę z okien budynku, razem ze stojącą na schodach Pallas Ateną. Stolica miała stać się miastem jednocześnie współczesnym i mitycznym, jak Paryż czy Wenecja. Stolicą kraju w pełni europejskiego, oglądanego krytycznym okiem.

I czasem trochę się boję, kiedy przypomnę sobie fragment spektaklu „Duszyca”, granego dla dwóch rzędów widzów, w tunelu do transportu dekoracji Teatru Narodowego pod ul. Wierzbową. Aktorki Grzegorzewskiego śpiewały mniej więcej tak: „A jeżeli tego miasta nie ma, za ścianą, jeśli go tam nie ma?”. No właśnie: jest czy zapracowało już na swoje zniknięcie? ●